



**38. Łódzki Przegląd Teatrów Amatorskich
– ŁÓPTA 2025 –**

DZIEŃ 1: 24.10.2025 r.

Już po raz 38. witamy Was na Łódzkim Przeglądzie Teatrów Amatorskich ŁÓPTA, który w najbliższych dniach odbędzie się w murach Teatru im. Stefana Jaracza. Czekaliśmy cały rok, by ponownie poczuć tę wspaniałą atmosferę, o którą dbają zarówno organizatorzy jak i uczestnicy. To już „wiekowa” impreza w najlepszym znaczeniu, a jej tradycja i energia potwierdzają, że teatr amatorski to prawdziwa, mocna wspólnota.

W tym roku czekają nas trzy dni, trzy sceny i dwadzieścia sześć grup z różnych zakątków Polski - od Gdyni przez Wrocław po Poznań. Tradycyjnie zapraszamy także na wspólne rozmowy z jurorami po spektaklach, bo przecież teatr to przede wszystkim dialog. To miejsce, w którym najważniejsze jest spotkanie: człowieka z drugim człowiekiem, twórcy z widzem, słowa z emocją.

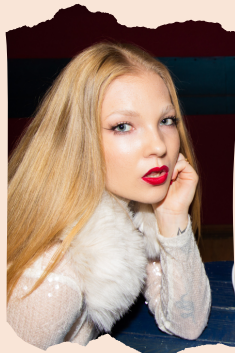
ŁÓPTA to nasze coroczne święto i przypomnienie, że teatr zaczyna się tam, gdzie pojawia się potrzeba opowieści. Dlatego drodzy widzowie i twórcy, wszyscy którzy wierzą, że scena wciąż ma moc budowania wspólnoty - porozmawiajmy!

A my, recenzenci gazety ŁÓPTAK, będziemy Wam w tych najbliższych dniach towarzyszyć nasiąkając atmosferą, notując nasze przemyślenia, biorąc udział w rozmowach, a czasem po prostu milknąc, gdy zabraknie słów po dobrym spektaklu.

Do zobaczenia w Jaraczu. Niech zacznie się teatr.

Barbara Cieślewicz
Redaktorka Naczelna

Nasza redakcja



Sara Gulak

Absolwentka Międzynarodowych Studiów Kulturowych oraz na kierunku Kultura i Sztuka Współczesna. Ostatni rok spędziła w Hiszpanii, eksplorując lokalną scenę artystyczną i teatralną, chłonąc różnorodne formy ekspresji i inspiracje kulturowe. W teatrze najbardziej fascynują ją emocje, które spektakl potrafi wywołać u widza. Jej ulubione przedstawienia to te, po których wychodzi wstrząśnięta. Według niej scena nie powinna być tylko ładna i grzeczna, lecz prawdziwa, odważna i poruszająca.



Jakub Pisarski

Absolwent studiów historycznych, naukowo zajmujący się losami polskich Romów po II wojnie światowej. Wieloletni amator teatru, zwłaszcza musicali, oraz równie amatorski recenzent dzieł kultury. W teatrze najbardziej ceni unikatowe doświadczenie każdego spektaklu i wynikające z tego emocje. Pasjonat literatury pięknej, od starożytności po twórczość współczesną, oraz „gier bez prądu”.



Paulina Kabzińska

Absolwentka historii, świeżo upieczona nauczycielka, miłośniczka literatury klasycznej i podróży, ale przede wszystkim gorąca wielbicielka teatru, a także recenzentka Dziennika Teatralnego. Szczególne miejsce w jej sercu znajdują musicale, chociaż lubi także wszelkiego rodzaju eksperymenty formą. W teatrze najbardziej ceni sobie jego specyficzną atmosferę, ulotność i niepowtarzalną relację między aktorami, a widzami.



Barbara Cieślewicz

Aktorstwo zaczęło ją fascynować odkąd zagrała rolę Mężczyzny w 5 klasie podstawówki. Przez kilka lat współpracowała ze Stowarzyszeniem Teatralnym Chorea. Do tej pory największą jej miłością są teatr, taniec i muzyka - to rzeczy, które szczególnie do niej trafiają. To jej 3 rok jako Redaktorki Naczelnej ŁÓPTAka.

Spis treści

5

Młodzieżowy Teatr “eF”

„Nie można spakować drzwi” | Bielsko-Biała

6

TEATR NIEOBCISŁY

„Miłosne Qui Per Quo” | Lubin

7

Teatr “EUFORIA”

„Tratwa Meduzy” | Głusków

9

Teatr Otwarty

„Pod wesołym tlenem” | Głowno

10

TEATR ZA MAŁY

„Słuchaczka” | Komorów

11

Teatr Jednego Aktora-Jerzy Kałduś

„Stary” | Lublin

12

Korelacja Teatralna

“Słabi” | Gdynia

13

Teatr Zza Boru

“Nie pozwolisz żyć czarownicy” | Zabór

Portret zbiorowy w znajomym wnętrzu

Spektakl otwierający tegoroczny, 38. Łódzki Przegląd Teatrów Amatorskich, zawiesił poprzeczkę niebywale wysoko. Młoda i pełna życia trupa przybyła do nas z przedstawieniem na temat, którego sami raczej byśmy im nie przypisali. „Nie można spakować drzwi” opowiada o rodzinie wielopokoleniowej: trwającej mimo upływu lat i osadzonej w niezmiennym (do czasu) przestrzeni. Rodzina jest tutaj faktycznym protagonistą, którego oglądamy na scenie ze wszystkich stron, pochylając się nad wymownymi scenkami z uczestnictwem wybranych członków... ale również w rozumieniu dosłownym, kiedy wszyscy obracają się, manewrując po scenie razem z futryną tytułowych drzwi do własnego domu. W tym kontekście należy rozpatrywać aktorstwo, gdzie żadna

z postaci nie wybija się na pierwszy plan, a ciężar narracyjny rozłożony był właściwie po równo. Clue spektaklu są przecież nie tyle jednostki ludzkie, co uczucia mieszczące się w fizycznych i niematerialnych przestrzeniach, jakie ze sobą dzielimy. Jestem pod wielkim wrażeniem grupy, która zdecydowała się podjąć takie wyzwanie. To zamysł bez wątpienia godny profesjonalnego teatru.

Fundamentalna zaleta grupy „eF” to świetnie wyglądająca choreografia. Ruch sceniczny, jego koordynacja z kwestiami, osoby pozostające na drugim i trzecim planie – wszystko wypadło znakomicie. Nawet interakcja z „widmowymi obiektami” (na kształt mimów) wyglądała tu przekonująco, a muszę nadmienić, że zazwyczaj nie jestem fanem tego zabiegu i wolę rekwizyty. Każda rola, niezależnie od ilości wygłoszonego tekstu, okazała się być tutaj czarująca. Moim zdaniem świadczy to przede wszystkim o dużym talencie w graniu ciałem i współpracy na scenie. Widać było duże zgranie zespołu, który musiał się przy tym wszystkim świetnie bawić. Tego rodzaju dobra energia nigdzie nie znika, a tym razem ewidentnie przełożyła się na jakość występu. Warto docenić, że nawet przy drobnych pomyłkach w wygłaszaniu kwestii, aktorzy zachowali zimną krew. To duży atut.

Po stronie wad muszę wymienić grę głosem, która była tu istotnie słabsza. Jednocześnie nie wydaje mi się, żeby była obiektywnie zła. Raczej wyglądała tak na tle naprawdę profesjonalnej gry ciałem i interakcji grupowych. Mimo to, całość zyskałaby dużo na mniej „szkolnych” a bardziej naturalnych głosach postaci. Ponadto widać było pewien problem z przechodzeniem pomiędzy scenami, aktorzy okazjonalnie gubili tempo czekając na zakończenie utworu muzycznego lub rozpoczęcie następnego. Wyrównanie tego nawyku przyjdzie z czasem i wymaga jedynie praktyki. Skoro już o muzyce mowa: gdyby odtworzyć ją całkowicie niezależnie od występu, już samoistnie mogłaby wzruszyć niemałą część widowni. Jako tło dla zaangażowanych aktorów, znacznie ułatwiła wszystkim wejście

w świat spektaklu. Odpowiedzialna za nią Natalia Smyk zasługuje zatem na szczególne wyrazy uznania. Spektakl był audiowizualny w najlepszym znaczeniu tego słowa, kreatywnie czerpiąc 200% z możliwości dźwięku i oświetlenia.

Podsumowując, przedstawienie bardzo do mnie przemówiło. Mam wrażenie że bardziej, niż do innej widzki, która w odpowiedzi na tytułowe słowa „Nie można spakować drzwi” odpowiedziała mi nad głową „no przecież można”. Od pierwszej minuty widać było naturalny talent sceniczny uczestników, tu i ówdzie wymagający tylko szlifów. Całokształt, zagrany jeszcze kilka razy i odpowiednio dofinansowany, bez problemu mógłby zagościć na deskach łódzkiego teatru. Słowem: dziękuję za udane otwarcie, czekam na więcej!

Powrót swata

W czasach „epidemii samotności” wszelkie kwestie związane z miłością, dobieraniem się w pary czy budowaniem rodziny, nabierają nowej powagi. Zazwyczaj łatwo się z nich szydzi, znacznie trudniej ich broni. A ponieważ jest to walka słuszna, tym bardziej należy pochwalić każdą próbę zmierzenia się z tematem za pośrednictwem sztuki. Teatr Nieobcisły z Lubina uczynił to w swoim spektaklu: akcja kręci się dookoła „Biura M.” pomagającego ludziom odnaleźć drugą połówkę, analogicznie do znanej, a niepopularnej dzisiaj instytucji swatki. Korzystając z dużej różnorodności swojego zespołu aktorów, udało się skompletować wachlarz barwnych osobowości, które do wspomnianego wyżej biura zawitały.

„Miłosne Qui Pro Quo” miało w założeniu być komedią. Nie da się jednak ukryć, że na tegorocznym Przeglądzie zostało potraktowane nad wyraz poważnie, co zrozumiałe mogło stanowić zaskoczenie (jeśli nie zawód) dla wykonawców. Uważam, że zawiniła w tej kwestii reżyseria. Aktorzy dawali z siebie wszystko, a nawet te same żarty mogłyby znacznie lepiej wybrzmieć, gdyby zagrano je w innych okolicznościach. Wysiłki niweczyło przede wszystkim tempo komediowe – rzecz trudna do opanowania – ale także przesyt, zarówno tematyczny jak i sceniczny. Działo się trochę zbyt wiele, sadząc jeden żart na drugim w oparach absurdu, co ostatecznie znieczuliło widza.

Który, będąc doprawdy roztroptym widzem ŁÓPT-y, skupił się najwidoczniej na przekazie całości. Ów dojrzeliliśmy w pełnej krasie: spektakl okazał się celnym moralitetem z ładnym i potrzebnym przesłaniem. Związane z nim poważniejsze momenty udało się rozegrać nienagannie. Wykonanie niewątpliwie usprawnił elegancki akompaniament muzyczny na żywo, scenografia nieodstająca od standardu łódzkich profesjonalnych teatrów i szczerzy entuzjazm aktorów, budzących sympatię od pierwszego wejrzenia (nawet w przypadku postaci negatywnych). Dlatego tym bardziej nie powinni brać do siebie potknięć, lecz skupić się na pozytywach. Widzę w nich duży potencjał dramatyczny, który warto dalej eksplorować. Komediowo również nie są straceni i wszystko jeszcze mogą wypracować, jeśli dać im odpowiednio dużo „powietrza” na scenie. Jest to bowiem cenne narzędzie pracy każdego aktora.

Jakub Pisarski

Dryfując wśród śmieci i lęku

Czy jesteśmy jeszcze na tratwie, czy może już z niej spadliśmy?

To pytanie, które nasuwał spektakl Teatru „EUFORIA” z Głuskowa. Reżyserka i scenografka Anna Kolanowska wzięła na warsztat temat, który już dawno przestał być modnym hasłem, a stał się codziennym niepokojem, a mianowicie katastrofę ekologiczną. Inspiracją był słynny obraz Théodore’a Géricaulta „Tratwa Meduzy” (1819). O ile malarz pokazał rozbitków na wzburzonym morzu, Kolanowska pokazuje ludzką cywilizację zagubioną pośród plastikowych fal i tonącą w informacyjnym tsunami.

Pierwsze minuty to dosłownie atak na widza, zalew chaotycznych informacji nakładających się na siebie, wykrzykiwanych przez aktorów: o emisjach, zużyciu energii, śladzie węglowym czy mediach społecznościowych. Polifoniczne głosy, szumy i powtórzenia tworzą kontrolowany chaos, który idealnie odwzorowuje otaczający nas codzienny cyfrowy bełkot i niekończące się scrollowanie. „Tratwa Meduzy” pozwala nam zagłębić się w życie przedmiotów, żywności, rzeczy. Dzięki personifikacji butelki Sovita czy paczki czekolady słyszymy ich opowieści momentami zabawne, momentami niekoniecznie. Te przedmioty opowiadają o tym, jak były w sklepie, pragnęły zostać kupione, a potem... gorzko tego żałowały. Wszystko to prowadzi do jednoznacznego wniosku o ludziach kupujących za dużo i pozostawiających po sobie śmieci bez zastanowienia, bez refleksji. Jak podkreśla jedna z bohaterek, butelka soku, ona wcale nie zostanie zrecyklingowana, lecz zgnieciona, a jej drobiny wrócą do nas w wodzie i tym sposobem zostanie z nami na zawsze...

Chaos towarzyszący spektaklowi, zarówno w dźwięku, ruchu, jak i scenografii, uzupełniony przez muzykę Kamila Wawrzuty pozwolił widzowi się zgubić, zirytować, a potem zrozumieć, że ta dezorientacja to właśnie stan współczesnego świata. Widzowie czują się jak na rozkołysanej tratwie informacyjnego oceanu. A kiedy w końcu pojawia się moment ciszy, scena, w której wybrzmiewają obawy performerów, cały ten chaos nabiera sensu. „Boję się...” – powtarzają młodzi aktorzy, aż ich głosy zlewają się w jeden lament pokolenia, które wie, że będzie musiało żyć w świecie, jaki mu pozostawiono. Myślę, że to jeden z najmocniejszych momentów całego spektaklu, gdyż w oczach aktorów naprawdę malowały się silne emocje takie jak, strach, niepewność, a miejscami nawet żal i zawód. Kulminacją tych emocji jest scena nawiązująca do kompozycji obrazu Géricaulta, która w niezwykle trafny sposób odwzorowuje jego emocje i przesłanie. Jednak zamiast flagi powiewa plastikowa torba, a zamiast tratwy - porzrzucone śmieci. I na nich rozbitkowie współczesności, jedni jeszcze wypatrujący pomocy, inni już pogodzeni z końcem. Ten obraz zostaje w głowie na długo. Co ważne, nie tylko tę scenę, ale cały sens spektaklu można interpretować przez pryzmat tego obrazu. Rozbitkami wyrzuconymi i porzuconymi są zarówno śmieci, o których mowa, jak i młodzi ludzie, którzy zostali pozostawieni w walce o ekologię i przyszłość. Ta kompozycja to trafne odwołanie do nastrojów młodego pokolenia, które, jak pokazali aktorzy, nie do końca wie, co ma robić. Boją się o siebie, o bliskich, o znaną im dotąd rzeczywistość i planetę. Ten strach przekazany jest bardzo mocno co wyraźnie koresponduje ze strachem postaci z obrazu Géricaulta. Co do kostiumów, balansują one między apokaliptycznym chaosem a kiczem, co trafnie odwzorowuje śmieciową estetykę naszej cywilizacji. Multimedia dodają spektaklowi rytmu i pomagają widzowi odnaleźć się w momentami konceptualnych scenach, nadając im dynamiki i głębi.

c. d. Dryfując wśród śmieci i lęku

Należy sobie jednak zadać pytanie – czy pokazano tu coś odkrywczego, poruszającego, inspirującego? I odpowiedź brzmi: nie do końca. Zainteresowanie tematyką spektaklu, której podjął się Teatr „EUFORIA”, jest trudne w dzisiejszych realiach. Temat ekologii od dawna nie szokuje i nie zaskakuje. Ten spektakl jednak na pewno nie miał przynosić rozwiązań, raczej posłużył jako narzędzie do podkreślenia problemów i obaw wobec przyszłości. I choć to wszystko zostało powiedziane poprawnie i z zaangażowaniem, mam wrażenie, że ten rodzaj przekazu już nie porusza tak mocno jak kiedyś. Oczywiście, na scenie widzieliśmy młodych aktorów pełnych pasji, autentycznych i naprawdę przejętych tematem. Ale zabrakło tu czegoś przewrotnego, czegoś, co by zaskoczyło lub zainspirowało. Zamiast tego dostaliśmy raczej uporządkowane nazwanie problemów i ich ilustrację

w historii, którą każdy z nas już zna. Dla wielu ekologia, jeśli nie zostanie pokazana z nowej strony, może wydawać się po prostu nudna i nieistotna, nawet mimo wizji katastrofy ekologicznej w 2050 roku. Temat znany i nie do końca wykorzystany w sposób nowatorski, który by zachwycił, wzruszył czy złapał za serce.

Mimo to, „Tratwa Meduzy” nadal robi coś ważnego. Może nie mówi niczego nowego, ale mówi to z autentycznością w taki sposób, że trudno przejść obok obojętnie. Spektakl pokazuje, że młodzi ludzie naprawdę się boją oraz że ich strach jest szczery, nieinscenizowany. I może właśnie w tym tkwi siła tej sztuki. Bo w końcu, wszyscy jesteśmy na tej samej tratwie. Tylko nikt już nie wie, czy jeszcze płyniemy... czy po prostu dryfujemy.

Sara Gulak

Niekoloryzowane

Każdy słyszał historie tego co dzieje się w polskich sanatoriach. Każdy, kto sam miał okazję w sanatorium być wie, że te historie to prawda. Sanatorium z tych opowieści jawi się właściwie jako osobny wszechświat, odrębne uniwersum rządzące się własnymi prawami

i nie jest to przesadzone. W sanatorium znikamy na trzy tygodnie, zostajemy wyrwani z naszej rzeczywistości i umieszczeni w świecie zasłużonego wypoczynku, relaksacji i poratowania zdrowia. Znow, podobnie jak za czasów nastoletnich jesteśmy wolni od obowiązków.

Sztuka "Pod wesołym tlenem" w reżyserii Janusza Adama Biedrzyckiego oraz Natalii Arabskiej to swego rodzaju sentymentalny przewodnik po tym właśnie świecie borowiny i dancingów. Na próżno szukać tu konkretnej fabuły, trzeba dać się porwać klimatowi tego niezwykłego miejsca. W spektaklu nie brakuje żadnej ze scen charakterystycznych dla turnusu sanatoryjnego - mamy rzucanie się na taksówkę z dworca, kolejki do rejestracji, ćwiczenia, zabiegi, naginanie zasad ciszy nocnej, dancingi i pożegnania. Nie zabraknie też śpiewu i tańca. Ogromna pochwała należy się autorowi scenariusza, Januszowi Adamowi Biedrzyckiemu, któremu naprawdę z godną podziwu precyzją udało się oddać autentyczny, chociaż może czasami trudny do uwierzenia, sanatoryjny folklor. Wszystko to okraszone jest sporą dawką humoru, który w trakcie spektaklu kilkakrotnie doprowadził publiczność do głośnego wybuchu śmiechu.

Pod względem technicznym „Pod wesołym tlenem” stoi na wysokim poziomie. Bardzo profesjonalnie zostało wykorzystane światło sceniczne, które pomogło maksymalnie wykorzystać potencjał scenografii i kostiumów. Szczególnie podobała mi się scena nocnego przekradania się do pokoju, ponieważ wykorzystano w niej światło latarek, które w połączeniu z reflektorami dały naprawdę ciekawe wrażenie. Scenografia Jolanty Królickiej była minimalistyczna, ale jednocześnie potrafiła zaskoczyć swoją funkcyjnością. Stanowi ona dowód na to, że żeby oddać różne miejsca akcji wcale nie są potrzebne rozbudowane dekoracje. Klimatu spektaklowi zdecydowanie dodała też muzyka na żywo. Ciekawym zabiegiem zdecydowanie okazało się przełamanie niewidzialnej bariery między aktorami, a muzykiem.

Jeśli zaś chodzi o obsadę aktorką to wszyscy wykonali kawałek dobrej roboty. Na pierwszy rzut oka widać ogromne zaangażowanie wszystkich aktorek i aktorów. Czuć, że są dumni ze swojej pracy i bardzo dobrze bawią się na scenie. To między innymi dlatego tak miło było na nich patrzeć. Na największe wyróżnienie spośród obsady zasługuje moim zdaniem Natalia Arabska, która bardzo naturalnie weszła w rolę mającej dość wszystkiego recepcjonistki. Widzę w niej dużo scenicznej charyzmy oraz dobrej energii i mam nadzieję, że jeszcze kiedyś zobaczę ją na scenie. Na uwagę zasługuje też jedyny mężczyzna

w obsadzie czyli Mirosław Nowak, który wcielił się w niezapomnianego Pana Zdzisia. Jego postać była zabawna, urocza i jestem przekonana, że zdobyła szeroką sympatię wśród publiczności.

„Pod wesołym tlenem”, chociaż przez większość czasu jest komedią, ma w sobie także większą głębię. Przez cały spektakl nie mogłam oprzeć się porównaniu turnusu w sanatorium do młodzieżowych wyjazdów na kolonie. Oba te wyjazdy wzbudzają wśród ich uczestników tyle samo ekscytacji, radości, może nawet pewnego ryzykanctwa. I w obu przypadkach pozostają przyjaźnie na lata. Miła to perspektywa, że zupełnie dorośli ludzie, zmęczeni życiem i pracą, podupadający na zdrowiu, mają jeszcze szansę odzyskać chociaż jakąś część swojej dziecięcej radości, odrzucić chociaż na te trzy tygodnie bycie odpowiedzialnym i móc z dawną łatwością bawić się i nawiązywać nowe relacje.

Niełatwe jest życie ateisty. Nie wierzy w nic, a zatem nie widzi też w świecie większego sensu, większego planu. Ciężko żyje się bez tych jasno wyznaczonych w życiu celów i ram postępowania. Wcale nie łatwiej żyje się osobom wierzącym, które, jeśli oczywiście mają otwarte umysły, prędzej czy później będą musiały zadać sobie trudne pytania, na które żadna religia nie daje jasnej i klarownej odpowiedzi. Bo czy to możliwe, że Bóg chciał żeby nasz świat był taki jaki jest? Pośrednie odpowiedzi można znaleźć w mądrych księgach, ale zawsze możemy zastanawiać się dalej czy na pewno właśnie tak miało być.

Fabula „Słuchaczki” skupia się na pewnej kobiecie, która doznaje bardzo niestandardowego objawienia religijnego. Kontaktuje się z nią bowiem z pewna postać, która sama siebie określa mianem bogini. Celem objawienia jest zlecenie naszej głównej bohaterce specjalnego zadania. Ma napisać ona nową świętą księgę, pierwszą wiadomość od bogini dla świata. To nieoczekiwane spotkanie przewartościowuje życie bohaterki, która teraz zaczyna zadawać sobie i bogini różne egzystencjonalne pytania. A bogini, podobnie jak i Bóg, wcale nie jest szczególnie chętna do udzielania odpowiedzi.

„Słuchaczka” niewątpliwie jest spektaklem kameralnym, zarówno pod względem formy jak i treści. To właściwie jedna, nieprzerwana rozmowa dwóch kobiet, w jednej scenerii. Forma ta w pełni koresponduje z treścią sztuki, w pewnym sensie ją uzupełniając. Nie da się ukryć, że autor scenariusza, Mirosław Olędzki, miał bardzo oryginalny pomysł na poruszenie tematu religii. Co więcej, powiązanie problemu religijności z płcią, wydaje się nie tylko nowatorskie, ale w mojej ocenie także trafne.

Scenografia w wykonaniu Ewy Stolarczyk jest klasyczna, przytulna i dobrze wypełnia przestrzeń sceniczną. Ciekawym jest podział sceny na swego rodzaju dwie przestrzenie dla dwóch bohaterek sztuki. Po stronie kobiety znajdziemy wiele przedmiotów codziennego użytku, mebli czy ubrań. Ta strona wydaje się lekko ciasna, może trochę chaotyczna. Strona bogini jest z kolei prawie pusta. Znajdziemy tam właściwie tylko fotel, na którym siedzi ona statecznie przez większość czasu. Podział ten znajduje odzwierciedlenie także na innych płaszczyznach realizacyjnych. Główna bohaterka kilkakrotnie przebiera się w trakcie sztuki. Zmienia ubrania równie często jak nastawienie do całej sytuacji – jej istotą jest bowiem wątpliwości i wahania. Bogini od początku do końca sztuki ma na sobie biały strój, który przywodzi na myśl stałość i spokój.

Także gra aktorska perfekcyjnie podkreśla różnice między postaciami. Ewa Stolarczyk w roli bogini jest nieco wycofana. Często milczy, mówi niewiele, ale kiedy się odzywa to czuć w jej głosie pewną wzniosłość i egzaltację. Na scenie jest raczej statyczna – dużo siedzi, porusza się powoli z dużym spokojem. Anita Kochanowska-Cydzik w roli kobiety jest jej pełnym przeciwieństwem. Ma w sobie dużo pasji, energii, gwałtowności. Prowadzi właściwie ciągły monolog i czasem widz może się zastanawiać czy jest to jeszcze wypowiedź skierowana ku bogini czy może już jakaś forma monologu wewnętrznego. Obu aktorkom należy się uznanie za konsekwentne prowadzenie swoich postaci przez całą sztukę.

„Słuchaczka” jest z całą pewnością spektaklem, który zmusza widza do melancholijnej refleksji nad istotą świata, w tym także nad dynamiką płci. Zwykle wyobrażamy sobie Boga jako starca z brodą, lecz w zasadzie skoro człowiek został stworzony na jego „obraz i podobieństwo” to czy powinien mieć on w sobie cech zarówno męskich jak i żeńskich? A może błąd leży w zapisie świętych tekstów, które przecież spisywali tylko mężczyźni? Czy dzisiejszy świat działa bardziej po męsku czy po kobiecemu? A może nasz świat nie działa i tylko aspiruje do jakiegoś utraconego dawno wzorca? I w końcu – czy tak naprawdę chcielibyśmy żyć w lepszym, spokojnym świecie? Na te i wiele innych pytań każdy widz musi spróbować odpowiedzieć samodzielnie.

Nad tą wsią zawsze coś wisiało

Czy można utracić coś więcej niż ziemię, na której się żyło całe życie? A może wraz z utratą ziemi traci się też siebie? Spektakl „Stary” w wykonaniu Jerzego Kałdusia, na podstawie opowiadania Juliana Kawalca „W słońcu”, to monodram o niezwyklej sile prostoty. To opowieść starego mężczyzny, który próbuje przybliżyć nam utratę tego, co dla niego najważniejsze, a mianowicie swojej ziemi.

Monolog, który w innych rękach mógłby stać się ciężki i hermetyczny, tutaj dzięki świetnej barwie głosu, dykcji i aktorskiej świadomości Jerzego Kałdusia jest przystępny, żywy i przejmujący. Performer mówi tak, jakby naprawdę był tym starym chłopem, jego głos raz cichnie, raz narasta, czasem drży, a czasem świszczy z gniewu. Każde słowo ma ciężar, każda pauza oddycha. Ten sposób mówienia sprawia, że historia zaczyna działać na wyobraźnię, a widz ma wrażenie, że siedzi w wiejskiej izbie i słucha opowieści dziadka, który nie potrafi już mówić o niczym innym niż o tym, co utracił i za czym tęskni.

Z pozoru prosty monolog układa się w wielowarstwową opowieść o końcu pewnego świata. Historie płynnie przechodzą jedna w drugą, ale ich wspólnym spoiwem jest tragedia: budowa miasta i fabryki na miejscu wsi, na jej polach, sadach, na ziemi, która była życiem i tożsamością ludzi. „Nad tą wsią zawsze coś wisiało” – powtarza bohater, a te słowa stają się refrenem całego spektaklu. Jakby nad każdym jego wspomnieniem, każdą historią ciążył jakiś cień, posępna zapowiedź końca. W jego opowieściach pojawiają się kolejne postacie, a przede wszystkim syn, który nie pałał miłością do ziemi, lecz z radością się jej wyrzekł. Dla starego mężczyzny to zdrada nie do przebaczenia. Porównuje syna do czorta, mówi o nim z odrazą i z bólem, którego nie potrafi ukryć. „Czy ten, kto gardzi ziemią, nie ma za głupca ojca?” – pyta sam siebie. To jedno zdanie wystarcza, by zobaczyć, jak głęboki jest jego smutek i samotność. Jedną z najbardziej poruszających scen to wspomnienie burzenia domu, który zbudowali jego ojciec i dziad. Gdy opowiada o widoku spychacza, który równą linią kładzie w gruzy ich pracę i wspomnienia, w jego głosie pojawia się śmiech taki, który boli bardziej niż łzy. Ta opowieść nasuwa pytanie o pamięć, o tych którzy byli tu przed nami. W końcu ilu z nas zastanawia się, co było wcześniej na miejscu bloków, ulic, fabryk i miejskiego zgiełku? Ile wsi, domów, rodzin skończyło właśnie w taki sposób? Pozostają jedynie wspomnienia.

Moją uwagę zwrócił kostium głównego bohatera - prosty, ale jak autentyczny w swoim chłopskim charakterze. Ograniczona liczba rekwizytów, czyli laska i stołeczek stały się symbolicznym centrum jego świata. Stołek był zarówno deską z jego chłopskiego domu, jak i tą nieszczęsną doniczką z garstką ziemi, z którą został. Widzimy tu nie tylko historię jednostki, ale i przepaść pokoleniową, między ojcem a synem, chłopem a mieszczaninem, dawnym światem a nowym. Sposób opowiadania, typowy dla starszego człowieka, czyni ten monodram wyjątkowo realistycznym.

„Stary” to prosty, a zarazem niezwykle mocny spektakl. Gorzki, prawdziwy, pozbawiony patosu. Nie ma tu wielkich metafor, a jednak zostaje po nim coś ciężkiego, jak ziemia w dłoniach. Bo to nie tylko opowieść o jednym człowieku, który stracił swoją wieś. To opowieść o przemijaniu. O ludziach, którzy patrzą jak znany im świat znika, najpierw w kurzu, potem w betonie, a na końcu z pamięci.

Golgota Matki Polki

W przypadku spektakli o mocno zarysowanym, charakterystycznym protagoniście, łatwo jest wpaść w pułapkę „teatru jednego aktora” wobec którego reszta pełni rolę chóru. Na kartach utworu Magdaleny Drab niejaka Anina [Ela Marzec] nosi w sobie zaczyn takiej postaci, będąc bez mała Adasiem Miauczyńskim własnego uniwersum, żywą eksploracją trudów macierzyństwa w mrokach III Rzeczypospolitej. Kiedy oglądałem „Słabych” w wykonaniu Korelacji Teatralnej z Gdyni, odtwórczyni tej roli dawała popis zwalającego z nóg talentu aktorskiego, zatem moja obawa była najzupełniej realna. Po zapoznaniu się z całością jestem jednak zmuszony ten lęk przekreślić. Wielką siłą spektaklu w tym wykonaniu jest duża charyzma każdego z zaangażowanych aktorów, zdolna podtrzymać uwagę na każdej z postaci niezależnie od przeznaczonego im „czasu antenowego”... a nawet pomimo niego. Wszystkim udało się zapewnić przysłowiowe „pięć minut” w wyniku czego każda otrzymała unikatowy sznyt. Dało się przy tym zwyczajnie wyczuć, jak żżyci byli aktorzy ze swoimi scenicznymi odpowiednikami.

Taka załoga nie mogła zawieść pokładanych w niej oczekiwań i faktycznie „dowiozła” nam bogate doświadczenie zawierające się w spektaklu. Niekwestionowanym królem scen komediowych był Jan [Bartłomiej Kuczkowski], którego to odtwórcę chętnie zobaczyłbym w innych rolach tego gatunku. Po przeciwległej stronie dramat chwycił za serce, ostatecznie zostawiając mnie ze łzami w oczach. Wywołanie całego spektrum emocji, od śmiechu do płaczu ze wszystkim pomiędzy, wyznacza moim zdaniem pewien standard dobrego teatru znany od starożytności. Korelacja Teatralna w zupełności go spełniła. Dodała przy tym własne rozwiązania, spośród których na specjalną wzmiankę zasługują skrzypce skutecznie imitujące płacz dziecka – imponująca innowacja na której widok wprost opadła mi szczeka.

Wady mogę wskazać jedynie niewielkie. Muzyka w tle okazała się być dosyć neutralnym brzęczeniem; przez większość czasu była za mało wyrazista, żeby wpływać na mój odbiór wydarzeń. Jeśli taki był zamiar (bo nie ukrywam, że to też pomagało budować określony nastrój na scenie) to oczywiście wszystko w porządku. Analogicznie uboga scenografia, która nie trafia w mój gust, ale rozumiem że może być ważną częścią zamysłu twórców.

Podsumowując: był to wysoce udany spektakl, który zapamiętam na lata za sprawą wielowymiarowego aktorstwa i pomysłowego rozwiązania ze skrzypcami. Kombinacja sardonicznego humoru, gorzkiej prawdy o ludziach oraz interesujących osobowości na scenie to przepis na sukces.

Chociaż niestety nie na kolację dla dziecka.

Jakub Pisarski

Historiola

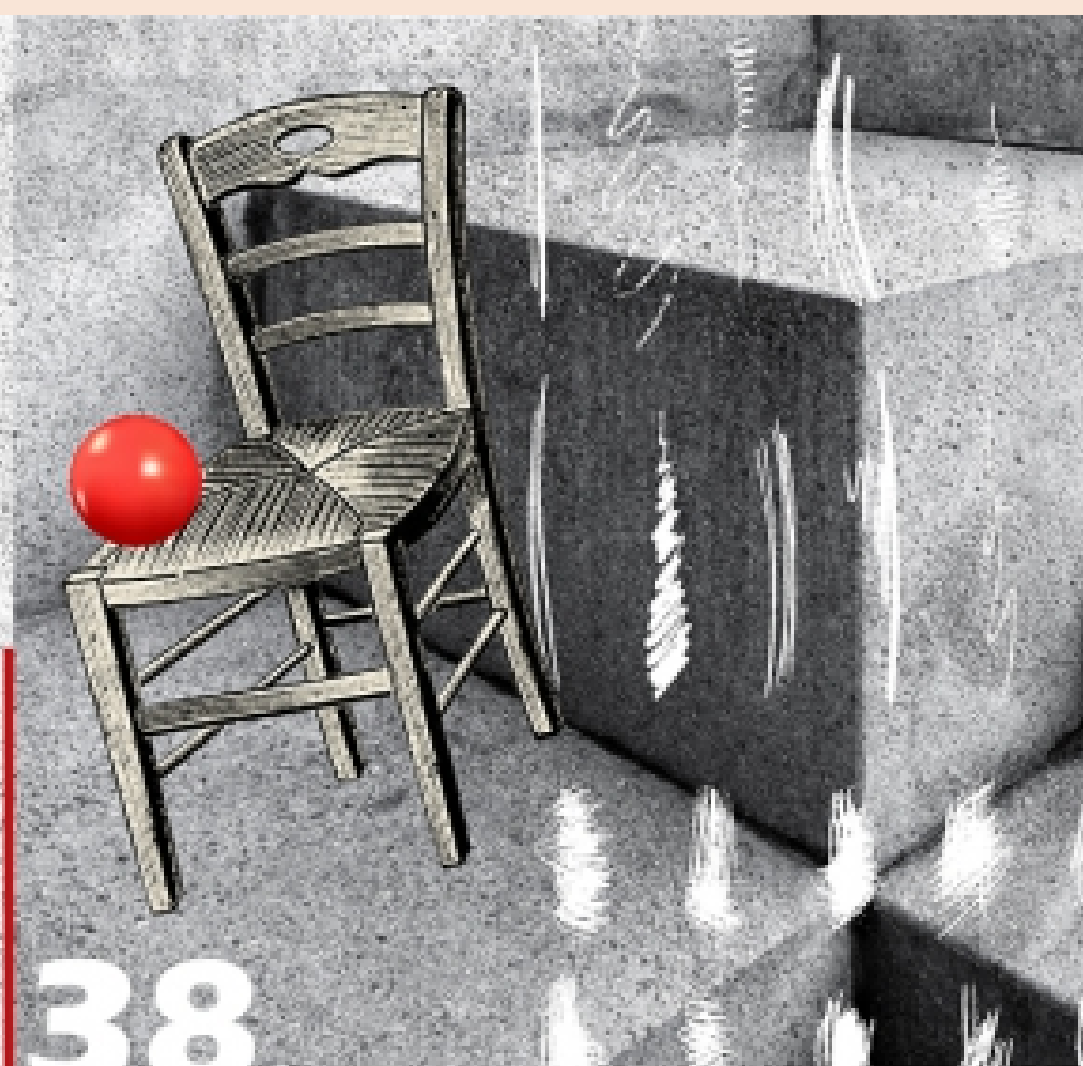
„Jezus ze świętym Piotrem wjechali do lasów. Tam żreback Piotra skręcił nogę. Zaczarował ją Pan Jezus, gdyż dobrze wiedział jak...” – oto tzw. historiola, czyli narracyjny wstęp do zaklęcia, gdzie poważana postać boska (tu Jezus) zostaje przedstawiona jako wzór dla dalszych działań czarownika (np. leczenia zwierzęcia). Znano takie czary od Meksyku po Japonię, od RPA po Szwecję, a jednak większości odbiorców taka formuła nic nie mówi. Kiedy jednak Elin [Weronika Dura], główna bohaterka spektaklu, wygłosiła bardzo podobne słowa nad wymieniem chorej krowy – natychmiast pojąłem, że mam do czynienia z dziełem o solidnych merytorycznych podstawach. Reszta akcji dobitnie to potwierdziła. Teatr Zza Boru przedstawił nam historię upiornie prawdziwą, której ekscytujące realia posłużyły, ma się rozumieć, nie dla uzupełnienia edukacji etnograficznej widzów; konstrukcja fabularna wymierzona jest we współczesność, dotykając uniwersalnych mechanizmów psychologicznych, równie żywych dzisiaj co w czasach przedstawionych.

Dużą zaletą spektaklu jest jego przejrzystość. Zawsze wiadomo, co dzieje się na scenie i czemu widzimy tam określone osoby czy rekwizyty (a to wcale nieoczywiste w teatrze amatorskim). Podobnie wysokiej klasy była gra aktorska. Elin wiedzie tutaj prym i widać, że odtwórczyni tej roli czuje się z nią naprawdę pewnie. Reszta trupy pozostaje jednak niewiele w tyle, zręcznie wzburzając emocje widowni, zwłaszcza te negatywne – pomruki niechęci były słyszalne z mojego miejsca, ale słyszałem je wyłącznie w odpowiednich momentach. To wspaniałe wieści, biorąc pod uwagę fakt, że nienawiść na scenie wywołuje się często trudniej od miłości. Zespół aktorski współpracował jak dobrze naoliwiona maszyna, zachowując fason w historycznych realiach i dobrze odnajdując się w kostiumach. Szczególnie dobre wrażenie sprawiły omowne formy w rozmowach między aktorami, tj. mówienie do siebie nawzajem w nienaturalnej dzisiaj trzeciej osobie. Dzięki takim właśnie detalom, zapewne utrudniającym opanowanie i odegranie ról, udało się skutecznie zawiesić niewiarę publiczności. Do świata XVIII-wiecznej Szwecji zostaliśmy wciągnięci, na miejscu oczarowani przez tubylców, a następnie wraz z nimi odczuliśmy na głowach (metaforyczny) kubeł zimnej wody. Dokładnie po takie doświadczenia wybieram się do teatru.

Jeśli miałbym wskazać wady, to wyłącznie drobne. Spektakl zyskałby na odegraniu go wolniej, gdzieś tam widać było pośpiech, bez którego całość wypadłaby lepiej. Z tak zarysowanymi postaciami chciałoby się spędzić więcej czasu, co (jak sądzę) można uzyskać nawet bez istotnych zmian w scenariuszu. Jednocześnie nie jest to poważna przywara, bardziej życzliwa propozycja. W obecnej formie spektakl jest całościowym sukcesem, gdzie trudno mi odszukać bardziej naglące problemy.

Dodam tylko, że piosenkę „My Mother Told Me” śpiewałem jadąc na spektakl, nuciłem z aktorami w trakcie, by później spędzić w jej towarzystwie drogę powrotną. Nie sposób więc zaprzeczyć, że w procesie promocji maczały swoje palce siły nieczyste...

Jakub Pisarski



38.

ŁÓDŹ

**Łódzki Przegląd
Teatrów Amatorskich**